

TRZECH GOŚCI W ŁÓDCE PLUS WAMPIR



KRZYSZTOF **KOTOWSKI**
TRZECH GOŚCI W ŁÓDCE PLUS WAMPIR

Projekt okładki: Szymon Szymankiewicz

Projekt graficzny i skład: Wojciech Mazur

Redakcja: Bogumiła Widła

Korekta: Malwina Łozińska

Produkcja i promocja: Grzegorz Esz

Marketing: Mateusz Ganc

Konsultacje graficzne: Sofya Bobrova

Copyright © by Krzysztof Kotowski, 2022

Copyright © by 5Why Promotion sp. z o.o., 2022



Druk i oprawa: ABEDIK SA, Poznań

Dystrybucja: PLATON sp. z o.o. Macierzysz

ISBN 978-83-961241-6-6

*Ludzie, którzy zajmują się pisaniem książek,
mają tę fajną możliwość, że mogą zadedykować
swoją opowieść, komu tylko chcą.*

*Korzystam z tego przywileju i przesyłam
niniejszym wyrazy wdzięczności trójce moich
wspaniałych przyjaciół, z pokorą dziękując:*

Kubie Bierzyńskiemu – za prawdziwą przyjaźń,
wyjątkową mądrość i inspirację,

Ewie Gutowicz – za wielkie serce, pomoc, wsparcie
i krytyczny ogląd tego, co najważniejsze,

Ani Bierzyńskiej – za wielką wrażliwość i zrozumienie
szczególnie dla tych, którym bronić się najtrudniej...

Krzysztof Kotowski

*...ze wszystkiego, co dano nam w książkach –
to tylko miłuję –
co napisano własną krwią...*

Friedrich Nietzsche *

* F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. własne autora.

*Tuż przed zmierzchem
W pieprzonej willi esbeka*

Indianin wślizgnął się do salonu tak cicho, że koleś drzemiący przy wielkim dębowym stole nawet nie drgnął. Obserwowałem sprawę, klęcząc w progu drzwi jednego z wejść, w każdej chwili gotowy do ucieczki korytarzem w lewo, potem w dół i na zewnątrz. Na razie wszystko szło, jak trzeba. Robiło się coraz ciemniej, ale na szczęście okna willi były spore, szczególnie w tym pomieszczeniu, i jako tako jeszcze mogłem widzieć, co wyprawia ten debil. Na sto procent był wciąż na bani, bo przecież żaden normalny człowiek nie byłby w stanie wytrzeźwieć w godzinę po wychlaniu pełnej butelczyny siwuchy. Schował się na chwilę za jakąś przasną kolumną, po czym – nie wiem, po jakiego grzyba – fiknął coś w stylu pokracznego kozła i walnął łbem w bok rokokowej szafy stojącej przy ścianie. Obudziło to oczywiście gościa zza biurka, ale właśnie wtedy jakimś cudem Indianin odnalazł w sobie pomysł na tak sprawne (dosłownie dwa!) ruchy... że błyskawicznie znalazł się przy facecie. Wyjął swój zapyziały, brudny szpikulec, który mu zrobił jeszcze dziadzio – wódz z Zadupiewa znad Missouri – ale zamiast wbić go gościowi w szyję, przyłożył mu w łeb trzonkiem. Biedak zdążył tylko otworzyć nieinteligentnie buzię, a następnie stracił przytomność. Przeniosłem wzrok kilka metrów w lewo i niestety dopiero wtedy zobaczyłem to, co było najgorszą rzeczą, jaka mogła się stać. Laster (kurwa mać!) pojawił się jak duch w przeciwnych drzwiach! Na Boga, jakim cudem tak szybko tutaj

wylądował?! Jeśli patrzeć na życie w miarę logicznie – to było kompletnie niewykonalne! Przecież cztery, może niecałe pięć godzin temu siedział w norze Skąpego czterysta siedemdziesiąt kilometrów stąd i obijał mu ryj – co Wąski i Martynka ponoć sprawdzili ponad wszelką wątpliwość! Teraz trzymał w dłoni spluwę, którą powoli zaczął mierzyć w Indianina. Przyłgnałem do podłogi, starając się jak najszybciej coś wymyślić, a następnie odczołgałem się najciszej, jak to tylko możliwe, aby połączyć się z Oriną. Laster chyba mnie nie zauważył, ale co z tego, kiedy i tak mieliśmy przesrane.

- Orina! – wyszeptałem do krótkofalówki.
- Tak? – odezwała się beznamyślnie.
- Laster tu jest.
- Niemożliwe.
- Możliwe. Nie wiem, co robić, to twoja akcja.
- Zlikwiduj go.
- Mierzy do Indianina.
- To niech Indianin go zlikwiduje.

Zamknąłem na chwilę oczy i odetchnąłem głęboko, aby wprowadzić do organizmu spokój.

– Kochanie, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?! Indianin jest po złej stronie lufy!

- Idę do was – rzuciła i zakończyła połączenie.

Obleciał mnie strach. Teraz były dwie możliwości: Orina tu wpadnie i w swoim stylu zrobi jatkę albo nie zdąży i Indianin zaraz będzie martwy. Oba rozwiązania bardzo złe. Znowu podczołgałem się do punktu, z którego wszystko uprzednio obserwowałem. W tej sytuacji być może stał się nawet cud numer dwa i Indianin choć trochę wytrzeźwiał. Nie wiem. Jedno było pewne – zauważył Lastera, ale ten jakoś nie strzelał. Dobrze. Na schodach słyszałem już Orinę. Źle. Tak czy owak, jak wspominałem – było ostro przechlapane.

Jak się w to wszystko wpackowałem?

Klasycznie, czyli nie używając w istotnych momentach, gdy tego wymagała sytuacja, mózgu. Może i jestem nietypowy, dziwnie się odżywiam i raczej trudno mnie nazwać wzorowym obywatelem, ale nie jestem idiotą. W tamtych czasach zwykle wiedziałem co i jak. Dbałem o dyskrecję. Ludzie mi ufali.

O tym, co robiliśmy z Oriną, nie wiedział nikt oprócz naszej trójki i... jeszcze kilka bardzo specyficznych osób, ale o tym opowiem wam zdecydowanie później. Oficjalnie byłem człowiekiem od załatwiania spraw.

Pilnowałem własnych interesów oraz oczywiście interesów klientów. Do pewnego czasu wszystko miło się toczyło. Ludzie się rozwodzili, ja ich śledziłem, robiłem przydatne zdjęcia – i komu to przeszkadzało?

Starałem się nie wchodzić nikomu istotnemu w drogę. Zwykle tak kombinowałem, żeby nie być po żadnej ze stron. Podchodziłem do wszelkich dziwactw z największym zrozumieniem. Przytulałem z uczuciem biedne, zdradzane kobiety, a za pół godziny strzelałem misia z ich mężami w akcie zrozumienia męskich słabości. Nie udawałem facetów ze starych filmów z Bogartem czy Nicholsonem o bohaterkich prywatnych detektywach. Mówiąc szczerze, w ogóle nie lubiłem być bohaterem. Lubiałem być... niezadłużony. Dzisiejsi komornicy nie lubią takich jak ja. Za to bardzo lubią sprawy takich jak ja, choć oczywiście o największych moich tajemnicach ani wtedy, ani dzisiaj nie mają, na ich szczęście, pojęcia.

Ten facet, od którego zaczęły się kłopoty, pojawił się jak każdy inny. Najpierw zadzwonił, przedstawił się jako marynarz, umówił się, a potem przyszedł. Normalnie. Bez fajki w zębach i zaniedbanej, śmierzdzącej zupą sprzed tygodnia brody. Nie miał koszuli w paski ani nie udawał romantyka. Przyszedł w tanim garniturze, uczesany jak zarozumiały burak z wielkiego portowego miasta – do tyłu na Rudolfa Valentino – ale sprawiał uspokajające wrażenie miłego i głupiego. Niestety nie był ani miły, ani głupi, ale o tym dowiedziałem się dużo za późno...

– To prosta sprawa – powiedział bez specjalnych wstępów, gdy tylko podał mi rękę, usiadł w fotelu i odmówił, kiedy zaproponowałem coś do picia. – Nie będzie miał pan z tym wielkiego kłopotu. A ja się po prostu na tym nie znam.

– Mówił pan, że pracuje na statku morskim, trochę tu daleko do morza... – Uniosłem badawczo brwi.

– No tak... Jestem wachtowym na Konradzie. To statek handlowy. Dość spory.

– Rozumiem.

Nic nie rozumiałem. Skąd tutaj znalazł się jakiś marynarz, w dodatku polecony przez Wąskiego? Wyjąłem notes.

– Nie ma pan nic przeciwko? – spytałem klasycznie i, jak mi się wydawało, swojsko.

– Jak na filmach – zauważył odkrywco.

– Robię wszystko, aby być na czasie. – Poszerzyłem uśmiech. – W czym mogę pomóc?

– Mam mały kłopot...

– No proszę... Z żoną? – zachęciłem.

– Słyszałem, że zna się pan na tym. Polecono mi pana.

Zrezygnowałem z pytania, na które zresztą znałem odpowiedź: „A kto mnie polecił?” – z nadzieją, że marynarz szybko zacznie być konkretny.

– Może pan liczyć na dyskrecję, szybkość i skuteczność – wyrecytowałem coś, co właściwie powinienem sobie powiesić

nad drzwiami, ale tak zwana zawodowa nieskromność i hipokryzja jednak powinny mieć jakieś granice.

– Czuję się jak u psychologa. – Odchrząknął niepewnie.

– Mój zawód polega trochę także i na tym – skłamałem gładko. – Proszę być szczerym.

Marynarz na chwilę zamilknął. Rozejrzał się dookoła z – jak mi się wydawało – nieśmiałym zakłopotaniem.

– Wie pan, kto to jest Éric Tabarly? – spytał po kilku sekundach.

– Nie mam pojęcia.

– Żeglarz, Francuz.

– Rozumiem.

– Zwykł mawiać, że jeśli ktoś kiedykolwiek wypadł ze statku do morza, nigdy nie powinien wracać do tej pracy. Podobno uważa, że taki ktoś po prostu się nie nadaje.

– Tutaj nie pomogę. – Rozłożyłem ręce.

– Tak przy okazji, mniej więcej trzydzieści lat później Éric Tabarly wypadł za burtę uderzony gaflem. Ciało znaleziono półtora miesiąca później daleko od tego miejsca. Ale wtedy usłyszałem to nazwisko pierwszy raz.

– Czy już rozmawiamy o sprawie? – upewniłem się.

– Moja trzecia żona...

Nie wiedziałem, czy to miało zwiastować odpowiedź na moje pytanie.

– Trzy razy wchodziłem na ten pokład i właśnie trzeci raz wypadam za burtę.

Jego wyrafinowana metafora miała pewnie oznaczać grę wstępną przed konkretami, ale to akurat normalne u klientów. Nie niecierpliwilem się, za to mi płacili. Siedząc przy tym biurku, niejednokrotnie słyszałem większe idiotyzmy.

– Naprawdę mi przykro. – Chlipnąłem z filiżanki stojącej przede mną. – Czy ma pan kontakt z żoną? – Postanowiłem aktywnie pomóc.

– Nie.

– Czy mam ją znaleźć? Dowiedzieć się, co porabia?
– Na razie nie.
– Nie? – upewniłem się.
– Niedawno odkryłem... że Anna chyba wpakowała się w pewne kłopoty... – zaczął wreszcie nieśmiało.
Zaciekawił mnie.
– Skąd pan to wie?
– Na razie nie mogę powiedzieć. Mam nadzieję, że pan to zrozumie. Ale to nie przeszkodzi w pańskim zadaniu.
Jasne, oczywiście wiedział lepiej ode mnie, co mi pomoże, a co nie, ale nie miałem zamiaru go pouczać.
– A jaka jest natura tych kłopotów? – spytałem.
– Natura?
– Tak. Co to za kłopoty?
– Tego też nie mogę powiedzieć.
– Hmm... – Po raz kolejny rozłożyłem ręce.
– Chciałbym, aby postarał się pan znaleźć pewien... dziennik.
– Aha. – Kiwnąłem cierpliwie głową. – Słucham dalej.
– Jego autorem jest człowiek o nazwisku Blift. Roman Blift.
– A co to za pan?
– Kochanek mojej żony – odparł tonem, jakby zamawiał kolejną herbatę w kawiarni.
– Rozumiem. Wie pan może, kiedy i gdzie ostatni raz go widziano?
– Tutaj. W Białowieży.
– Aha...
– Potem zniknął – kontynuował marynarz. – Nikt nie wie gdzie.
– To w kontekście pańskiej żony chyba nie tak źle... – Wydobyłem z siebie ciutętkę koniunkturalizmu.
– Zależy mi tylko na dzienniku.
– Czy w tym dzienniku... znajdę kłopoty?

– Jest pan... jak prawnik, prawda? Obowiązuje pana tajemnica?
– Oczywiście – wystrzeliłem natychmiast. – Co tak naprawdę łączyło pana żonę z tym Bliftem?
– Zbyt wiele. – Marynarz zmarszczył brwi i na chwilę stał się surowy.
– Rozumiem. Muszę mieć trochę więcej danych na temat...
– Dostarczę je panu – przerwał sucho. – Przyszedłem tylko upewnić się, czy... – Zawahał się. – Weźmie pan tę sprawę? Jeszcze raz przyjrzałem się uważnie facetowi.
– Tak. Warunki takie, jak podałem przez telefon. Stawka stała płacona raz w tygodniu plus koszty. Jeśli dojdę do wniosku, że sprawa nie rokuje pozytywnie, zachowuję tajemnicę na zawsze, łącznie z moim dotychczasowym honorarium. Ale oczywiście natychmiast przestaje pan mi płacić.
– Często dochodzi pan do wniosku, że sprawa nie rokuje pozytywnie? – spytał spokojnie.
– Jeszcze mi się nie zdarzyło – skłamałem powtórnie. – Ale zawsze może być ten pierwszy raz.
– W porządku. – Marynarz podniósł się z fotela. – Jeszcze dziś wieczorem zadzwonię i dostarczę panu materiały. Jest tego sporo.
– Nie ma tu obowiązku podawania swoich personaliów, ale... jak mam się do pana zwracać?
– Nazywam się Laster. Eryk Laster.

Indianin

Indianin był mniej więcej prawdziwy. Jego ojciec, polski emigrant pracujący w Tulsie w stanie Oklahoma jako inżynier budowlany, poznał tam urodziwą ponoć jak marzenie Stojącą Brzozę, wnuczkę Wiszącej Skały, jednego z najważniejszych członków Wielkiej Rady plemienia Osedzów, i... od tej pory przeznaczenie stało się dla niego oczywiste. Przodkowie Wiszącej Skały – przeniesieni niegdyś przez „białych braci” z ich rodzinnych terenów nad dolną Missouri do rezerwatu oklahomskiego w pobliżu Tulsy – wiedli w miarę spokojne życie do roku 1906, kiedy to w pobliżu ich domostw odkryto potężne złoża ropy naftowej. Wujek Sam nigdy dotąd tak celnie nie strzelił sobie w stopę jak wtedy, gdy zmusił Indian do zamieszkania na terenach, które kilka lat później okazały się najdroższym kawałkiem ziemi w środkowych Stanach. I tak rząd USA został zmuszony do wypłacenia Osedzom ponad ośmiu milionów ówczesnych dolarów za prawo do eksploatacji.

Dzisiaj odpowiada to sumie dwustu milionów dolarów, co uczyniło szczerp Wiszącej Skały środowiskiem o najwyższym dochodzie na jednego mieszkańca w całym kraju. Paradoksalnie nie wpłynęło to na jedność Osedzów. Poszczególne członkowie plemienia, stając się ludźmi wyjątkowo zamożnymi, powoli oscylowali w stronę samodzielności i karygodnie zapominali o tradycji. Doprowadzili tym zresztą Długą Fajkę Pokoju – wodza o dość rozległych ambicjach – do głębokiej depresji. Wyprowadzali się po cichu, pod różnymi pretekstami, do wielkich miast, które kusily nie tylko wodą ognistą czy

nowoczesnymi rozrywkami, lecz także wygodą życia i obiecującą karierą. Wisząca Skała nie szukał daleko. Zamieszkał w Tulsie i w krótkim czasie stał się zaskakująco sprawnym biznesmenem. Już w 1914 roku posiadał sześć sklepów z obuwem skórzanym, a w ciągu następujących dwudziestu lat pomnożył swój majątek trzydziestokrotnie. Jego żona – Wzniesiona Ręka – dostosowała się do sytuacji wyjątkowo sprawnie: do tego stopnia, że zażądała w pewnym momencie amerykańskiego nazwiska. I tak Wisząca Skała oraz Wzniesiona Ręka stali się Johnem i Alice O’Sagsonami. Ich jedyny syn – Patrick, człowiek przystojny i zdolny – miał naturę buntowniczą. Nie umiał się pogodzić z niegdysiejszym wyborem ojca i gdy osiągnął wiek męski, postanowił wzgardzić majątkiem rodziców, aby wrócić na ziemię przodków – gdzie z otwartymi rękami przyjął go wódz Długa Fajka. Jego rodzina prowadziła tam dość skromny żywot mimo posiadanego majątku, którego nigdy nie spożytkowano i z którym właściwie nie wiedziano, co zrobić. Szacunek do tradycji szczególnie imponował Patrickowi, choć jeszcze bardziej zaimponowała mu młodziutka i seksowna Biała Chmura – wnuczka Długiej Fajki. Wódz nie odważył się odmówić młodemu O’Sagsonowi. Namaścił ich związek i powierzył opiece bogów, po czym w niedługim dość czasie przeniósł się do krainy wiecznych łowów – jak wieść niosła: w spokoju ducha, mimo tak wielu rozczarowań doznanych w życiu. Patrick i Biała Chmura żyli przez kilkanaście lat na ziemiach Osedzów, wychowując dwójkę dzieci: syna Dumnego Orła oraz córkę Stojącą Brzozę.

Dopiero wieść z Tulsy o ataku serca Johna O’Sagsona ściągnęła ich z powrotem do miasta, gdzie po pogrzebie ojca rodziny, ponoć targani wobec niego wyrzutami sumienia, zostali już na zawsze. Chcąc nie chcąc, Patrick odziedziczył firmę, ale zarządzanie jej powierzył białym. Dumny Orzeł przyjął to z wyjątkowym rozczarowaniem. Wierzył, że ma w sobie potęgę ducha dziadka oraz siłę zdolną dokonywać rzeczy wielkich.

W obu wypadkach się mylił, z czego trzeźwy ojciec zdawał sobie doskonale sprawę. Dumny Orzeł od najwcześniejszych lat był dzieckiem romantycznym, ambitnym i – co niestety zdarza się także wśród Indian – dość głupawym. Główną nadzieją Patricka stała się więc bystra, zdolna, choć niestety również romantyczna córka. Ona jak na złość nie miała ambicji związanych z biznesem ani nauką, za to czujnie, odkąd tylko natura obdarzyła ją kobiecymi hormonami, wypatrywała miłości życia. Po kilku nieudanych próbach znalazła ją w osobie tajemniczego przybysza z dalekiego kraju. Młody wojskowy, z wykształcenia inżynier, który przybył do Stanów tuż po wojnie, nie dał się długo kusić i wbrew protestom Patricka O’Sagsona pojął ją za żonę, i to w obrządku katolickim. Kościół polski w Tulsie ochrzcił nową wierną imieniem Zdzisława – na cześć błogosławionej Zdzisławy Czeskiej, patronki młodych małżeństw i matek. Patrick, który nigdy nie był w stanie wymówić nowego imienia córki, zamknął się w sobie, a na starość zdziwaczał. Wysyłał na zmianę listy protestacyjne do pisarki Joan Lindsay, autorki *Pikniku pod wiszącą skałą*, żądając zmiany tytułu jej dzieła urągającego pamięci jego ojca, oraz do Ericha Honeckera, przywódcy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, określającego Muzeum Indian na terenie jego komunistycznego kraju jako „dumny przykład walki Indian z amerykańskim imperializmem”.

Inżynier Adam Kostewicz – szczęśliwy mąż Zdzisławy Kostewicz, *primo voto* Stojąca Brzoza – wytrzymał w Stanach Zjednoczonych jeszcze kilkanaście lat, aż wreszcie doznał napadu miłości do ojczyzny tak silnego, że namówił małżonkę na brawurową podróż z nim oraz ich jedynym synem do kraju przodków. Miejscem nowego szczęścia rodzinnego miała być Puszcza Białowieska – swojska, piękna i polska, a co najważniejsze: bogata w bizona.

Rodzina Kostewiczów zadziwiająco szybko zaaklimatyzowała się w Białowieży. Poznali tam między innymi

Sat-Okha – Długie Pióro, który po opuszczeniu ojczystej „ziemi słonych skał” przyjął polskie imię i nazwisko Stanisław Supłatowicz i został słynnym popularyzatorem kultury indiańskiej w Polsce. Jak pewnie pokolenie lat siedemdziesiątych pamięta, Długie Pióro często bywał w *Teleranku* i *Ekranie z bratkiem*; opowiadał o swoim barwnym dzieciństwie na preriach w telewizji oraz w książkach, których spłodził co najmniej dziesięć.

Mój Indianin lubił wspominać swoich przodków, a gadkę miał imponującą. Uwielbiał rozprawiać o tym, jak odziedziczył po dziadku umiejętność tropienia i słyszenia dusz z krainy wiecznych łowów. Kiedy zjawił się u mnie pewnego deszczowego dnia z polecenia Wąskiego (o którym dokładniej opowiem wam później), w przypiływie szaleństwa i pod sporym wpływem moich ówczesnych kumpli – zatrudniłem go. Mimo że wiecznie zionął alkoholem i niemal nie zmieniał ubrania, był zadziwiająco sprawny w robocie i – co tu dużo mówić – w niektórych sprawach znacznie przewyższał mnie instynktem. A przecież – biorąc pod uwagę to, kim czy raczej „czym” naprawdę jestem – powinno być odwrotnie. Ja jednak w przeciwieństwie do niego opowiadać o sobie nie bardzo lubiłem, szczególnie że nie miało to specjalnego sensu. Albo musiałem kłamać, albo... No właściwie zawsze musiałem kłamać.

Prawdziwe imię i nazwisko mojego Indianina było zawstydzająco nieindiańskie – Jan Kostewicz. Nienawidził go. A ponieważ za zwrócenie się do niego per „Jasiu” groziła utrata skalpu, nie podejmowałem dyskusji na ten temat i nazywałem go tak, jak chciał: Johnem O’Sagsonem. Każdy ma prawo nazywać się tak, jak mu się podoba. Kiedy Cassius Clay ogłosił pewnego dnia, że od teraz nazywa się Muhammad Ali, to wszyscy tak zaczęli do niego mówić. Kiedy mój asystent Jasiu Kostewicz ogłosił, iż nazywa się Johnny O’Sagson, nie oponowałem i tak już zostało.

Jak to jest być wampirem z filmu...

Wiecie, jak to jest dzisiaj z tymi wampirami z kina czy z telewizji – zawsze panują inne zasady. Na początku każdego filmu bohater tłumaczy widzom, jak to jest być wampirem z tej akurat opowieści. Czasem do snu potrzebna jest im trumna, czasem nie. Czasem boją się czosnku, kiedy indziej nie. W *Wywiadzie z wampirem* słońce je niszczy, ale już w *sadze Zmierzch* – nie. W serialu, który zresztą zawsze uwielbiałem – *Pamiętniki wampirów* – słońce co prawda sprawia mały problem, ale wystarczy założyć na palec odpowiedni pierścień i wszystko jest wporzo. W dodatku koledzy i koleżanki wampiry mają zdolność genialnej hipnozy, dzięki czemu mogą zmuszać ludzi, do czego tylko chcą – przede wszystkim do zapominania. I jest git. Żadnej odpowiedzialności, pretensji po pogryzieniu czy traumy. Wszyscy są zadowoleni – i co? Chyba sześć czy siedem sezonów. Nie pamiętam. Ta piękna Bułgarka z obsady w końcu wymiękła, zrezygnowała z głównej zresztą roli, a potem nie chciało mi się już tego oglądać. Mimo że mądre to wszystko raczej nie było – pochłaniałem z zapartym tchem. Dobrze napisany scenariusz, krwiści (z każdego możliwego punktu widzenia) bohaterowie, każdy nonsens można było z uśmiechem od ucha do ucha serialowi wybaczyć. Fajny paradoks.

Stary, dobry Dracula jest już *passé*. Teraz wampiry nie są już złe – tylko... skomplikowane. Mają rozterki, kochają się w ludziach, rozpalają ich namiętności i przeżywają bunt przeciwko własnej naturze. Widzowie już ich się nie boją,

a nierzadką szlachetność krwiopijców nastolatki, a nawet romantyczki wieku dojrzałego nagradzają szlochami w kinach i przed telewizorami. Dziwne? Nie wydaje mi się. Znak naszych czasów. Wszystko staje na głowie; kochamy potwory, taka moda. A co ze mną? Jak chyba już mówiłem, nie lubię o tym gadać. Kretyńsko jest komukolwiek powiedzieć: „Wiesz, stary, mam mały problem – żywię się ludzką krwią”. Wolę ograniczyć się do tego, co akurat jest na tapecie, staram się nie pakować w zbyt duże kłopoty i bywam wielu ludziom pomocny, choć jak już wspominałem – jestem nietypowy.

Z wyżej wspomnianymi bohaterami ludzkiej (reżyserskiej) wyobraźni łączy mnie chyba tylko jedno: źródło pożywienia... no i może jeszcze to, że bardzo, bardzo niewielu tak zwanych normalnych ludzi zna mój maleńki sekret. Przez pewien czas nie wiedział o nim także John O’Sagson. Nie było powodu. Jak mówiłem, ludzie niezwykle rzadko są dopuszczani do naszej tajemnicy. Mówiąc „rzadko”, mam na myśli: prawie nigdy. Przypadek chciał, że Indianin któregoś dnia dowiedział się o sprawie, ale... wzruszył tylko ramionami, łyknął siwuchy i orzekł, że ma to w dupie. Nie z takimi duchami i strzygami miał do czynienia, więc żadna to dla niego rewelacja. Gdy jego pradziadowie uprawiali kukurydzę, mieli stały kontakt z wszelkimi *deohako* i było spoko.

– *Deohako?* – spytałem wówczas nieco zbity z tropu.

– *Deohako*, duchy kukurydzy, kretynie. – Machnął z zażenowaniem ręką. – Jesteś wampirem, a na niczym się nie znasz. Teraz istnieje wiele duchów kukurydzy, ale kiedyś była tylko Onatha. Piękna, romantyczna nimfa, przyjazna pierwszym ludziom. Któregoś dnia, gdy szukała rosy, porwał ją Hahgwehdaetgah i wprowadził do podziemi.

– Hahg... co?!

– Mówiłem, że niczego nie czaisz. – Rozłożył bezradnie ręce. – Hahgwehdaetgah to zły brat Hahgwehdiyu – boga, który tworzy dobre rzeczy.

– Bracia... – upewniłem się.
– Tak, bliźniacy. Bracia oddechu wiatru. Hahgwehdaetgah ma swoją chatę w podziemiach i kiedy jest okazja, potrafi zabierać oddech wybranym ofiarom. Oczywiście pewne czary przed tym chronią, ale nie wszystko naraz...
– Johnny! – przerwałem mu na chwilę. – Czy usłyszałeś, co ci przed chwilą wyłożyłem? Jestem wampirem i tylko ty o tym... No, prawie tylko ty – od kilku zresztą minut – wiesz! Kiedy będę miał sto lat, dalej będę wyglądał tak jak teraz!
– Wielkie mi mecyje! – Indianin znów machnął ręką. – Moja prababcia żyła sto dwanaście lat.
– I wyglądała tak jak ja w wieku stu lat?!
– Była dużo ładniejsza.
Tym razem ja machnąłem ze zrezygnowaniem ręką.
– Okej, zanim wrócimy do roboty, chcę, abyś wiedział, że masz tego nikomu nie mówić!
– A o czym tu gadać? – O’Sagson skrzywił się z lekkim zniecierpliwieniem. – Ja ci opowiadam ważne rzeczy, a ty mi posuwasz jakieś bzdury! Chcesz wiedzieć, co było dalej z Onathą?
– Oczywiście – przytaknąłem z rezygnacją, wymuszając uśmiech. – Zabrał jej oddech ten zły bóg?
– Nie. Uratowało ją słońce, to chyba jasne! Nie domyśliłeś się?
– Pewnie, wodzu, jak mogłoby być inaczej? Słońce ją uratowało – przytaknąłem z możliwie najbardziej przekonującym wyrazem twarzy.
– I teraz wraz z innymi duchami kukurydzy opiekuje się zbiorami. Moi pradziadowie często z nią gadali.
– Wspaniale. Jak im to szło?
– Co?
– To gadanie.
– No wiesz... – Indianin westchnął. – Czasem długo była zła pogoda, susza albo szarańcza... No to Onatha zsyłała deszcz

albo przepędzała robale i wszystko wracało do normy. Nie zawsze miała czas, rozumiesz, ale lubiła moich pradziadków.
– Bez wątpienia. Słyszałem, że mieli sporo kasy.
– A to później. Zresztą nieważne. Coś jeszcze chcesz?
Postanowiłem, że kolejny raz poczynię wysiłek:
– Johnny, obawiam się, że nie zwróciłeś dostatecznej uwagi na to, co się przed chwilą stało. Złapałeś mnie właśnie przez przypadek na picciu krwi. To ludzka krew. Potrzebuję jej do życia. Zwykle posiłki mi nie wystarczają. Widziałeś wielokrotnie, jak jem, ale to tylko fasada. To tak, jakbyś ty żywił się wyłącznie miętówkami. Potrzebuję znacznie więcej energii do utrzymania mojego organizmu w odpowiedniej formie, bo inaczej umrę. Do tego muszę mieć czystą krew. Odstaw na chwilę wodę i skup się. Ogarniasz w ogóle temat?
– A jakiej grupy krwi potrzebujesz?
– Obojętne, kurwa, jakiej! Masz zapamiętać tylko to, aby o tym zapomnieć! Na zawsze!
– W porządku, czego się tak denerwujesz? Przecież chyba mnie nie zjesz?
– Nie jadam ludzi. Piję tylko ich krew.
– No, ale to trzeba najpierw...
– Niczego nie trzeba najpierw! – przerwałem może trochę za nerwowo. – Piję krew kiedyś pobraną od ludzi, nikogo nie zabijam. Nie oddawałeś nigdy krwi?
– A skąd ją bierzesz?
– Nie twoja sprawa. Nie zatrudniłem cię, aby rozprawiać o moim żarciu. Masz po prostu wykonywać swoją robotę. Indianin uśmiechnął się wyraźnie rozbawiony.
– Czyli nie jesteś groźny?
– Jeszcze chwila i zacznę być!
O’Sagson klepnął wesoło dłonią w kolano.
– Stary, jest okej. Jak wspomniałem, mam to wszystko gdzieś. Gdybyś tylko mógł nie jeść przy mnie, byłoby... no wiesz... bez obrazy, ale na myśl o tym trochę chce mi się rzygać.

– Zrozumiałeś?! – powtórzyłem uparcie.

– A co tu do rozumienia? Jesteś wampirem i tyle. Może chcesz, abym pogadał z duchami? To mogłoby być...

– Masz z nikim o tym nie gadać! – warknąłem coraz bardziej rozdrażniony. – Z żadnymi duchami!

Indianin pogrążył się na pewien czas w myślach.

– Hmm – mruknął po dłuższej chwili. – Może chociaż z Estsanatlehi, dla bezpieczeństwa, czy nie ma nic przeciwko...

– A co mogłaby mieć przeciwko?

– No ona zajmuje się... jak by ci to powiedzieć... yyy... potworami. Z całym szacunkiem, oczywiście. Znaczą się... likwiduje je, żeby ludzie mieli spokój. Wiesz, z potworami kiepsko się żyje. Więc Estsanatlehi...

– Johnny... krwią żywią się nawet komary, niektóre nietoperze i wiele innych, różnych, bardzo fajnych na co dzień zwierząt! Ludzie jedzą kaszanke, czerninę, a dawniej nawet smażyli krew z cebulą i nie mieli z tym problemu!

Indianin znów się zamyślił.

– No taaak – wydukał po kilku sekundach. – Jest to jakiś argument. Estsanatlehi nie powinna mieć nic przeciwko. Ale pogadałbym z nią, bo...

– Czy ty słyszysz, kurwa, co do ciebie mówię, czy nie słyszysz, co do ciebie mówię?!

– Okej, okej, a... dużo masz takich podobnych do ciebie kolegów?

– Podobno masz to w dupie?!

– Nie no... w tym sensie, że myślę o interesach i...

– Ja tu jestem od myślenia o interesach! Ty jesteś moim asystentem!

Indianin podniósł do góry dłonie w geście pojednania.

– A więc milczenie. Howgh! Niech będzie wola twoja – wyrecytował uroczyście.

– Właśnie. Niech będzie. I na tym zakończmy.

Więcej informacji na www.5why.pl/kotowski